

Sebastian R. Bielak

PRZYSTANEK ALASKA

Swoją dzikość oraz brak znaczących wpływów ludzkiej cywilizacji Alaska zawdzięcza nie tylko położeniu na krańcu świata, ale przede wszystkim wieloletniej ochronie przyrody.



ZA GÓRAMI, ZA LASAMI, ZA RZEKAMI...

Porośnięte tajgą
przedgórze gór Kenai
nad rzeką Kenai.

Mój trzymiesięczny pobyt na Alasce był połączeniem przyjemnego z pożytecznym. Przyjemność czerpałem z podróżowania i zwiedzania. Natomiast pożytek płynął ze stażu naukowo-badawczego, jaki odbywałem w trzech przyrodniczych obszarach chronionych: Kenai, Koyukuk i Nowitna. Staż ten pozwolił mi dobrze poznać alaskańską przyrodę.

WSZYSTKO JEST KENAI

Pierwsze sześć tygodni spędziłem na półwyspie Kenai na południu Alaski, nad Zatoką Cooka. Jedną z cech charakterystycznych tego regionu jest ogromna ilość śródlęśnych, polodowcowych jezior, które powstały tysiące lat temu, gdy z terenów tych wycofywał się ku północy rozległy lądolód. W pobliżu jednego z takich jezior, o nazwie Headquarters, miałem przyjemność mieszkać. Nad jego brzegiem

spędziłem wiele uroczych wieczorów, przesiadując na drewnianym pomoście, delektując się ciszą i pięknymi widokami. Za moimi plecami rósł rzadki las karłowatego świerka czarnego, przede mną rozpościerała się ciemnoniebieska tafla jeziora, a w oddali widziałem ośnieżone szczyty gór Kenai.

Pewnego dnia wybrałem się na przejażdżkę wokół innego, typowo górskiego jeziora Skilak. Trasa prowadziła wzdłuż grzbietów górskich, skąd roztaczała się panorama na całe jezioro położone w głębi doliny. Gdziekolwiek okiem sięgnąć widziałem gęste iglaste lasy, ośnieżone szczyty górskie wznoszące się nad błękitnym jeziorem, a wysoko w górze szczytujące bieliki amerykańskie.

W trakcie przejażdżki zobaczyłem przy drodze niedźwiedzicę baribala z dwoma młodymi. Widząc samochód, jeden z niedźwiadków próbował wdrapać się na najbliższe drzewo, piszcząc przy tym głośno ze strachu. Jego

mama – dostrzegając, że człowiek utrzymuje odpowiedni dystans – przywołała malca do siebie, po czym cała rodzinka podreptała spokojnie w głąb lasu.

Kiedy indziej postanowiłem zobaczyć z bliska jezioro Kenai. Wydawało mi się dosyć dziwne, a wręcz śmieszne, że zarówno cały półwysp, pasmo górskie, największa rzeka oraz jedno z największych jezior na półwyspie mają tę samą nazwę – Kenai. Zupełnie jakby odkrywców tych terenów brakowało oryginalnych pomysłów na nazwy geograficzne.

Z daleka jezioro Kenai wyglądało zjawiskowo – jego wody miały intensywny, turku-

sowy kolor – jakby przeniesione z Karaibów. Barwa jeziora jest efektem unoszenia się w toni wodnej drobin osadów wypłukanych z lodowców. Cząstki tych osadów załamują odbite promieniowanie słoneczne, wywołując ten



FOT. SEBASTIAN R. BELAK

WITAJCIE NA KOŃCU ŚWIATA

Motto miasta Homer, słynącego z połowów halibutów, brzmi: „Gdzie kończy się ląd, a zaczyna morze”.

niesamowity efekt. Na chwilę wsadziłem rękę do wody – była lodowata. Wszystkie jeziora położone w górach Kenai zasilane są topniejącymi lodowcami, stąd tak niska temperatura wody oraz wysoka, sięgająca ponad 5 metrów przejrzystość.

Słynie on z atrakcyjnych łowisk halibutów. Mieszkańcy miasteczka z dumą przechwalają się, że dla miłośników łowienia tych ryb Homer jest niekwestionowaną stolicą świata. Halibut to ogromna, sięgająca nawet ponad 3 m długości oraz 300 kg wagi, morska ryba

LODOWCOWO-TURKUSOWE

Jezioro Kenai jest najgłębszym na półwyspie o tej samej nazwie. Turkusowy kolor zawdzięcza drobinom lodowcowych osadów unoszącym się w wodzie.



HOMER I HALIBUTY

Innym razem wybrałem się nad zatokę Kachemak zobaczyć z bliska Pacyfik oraz zwiedzić słynny port w Homer, położony na południowo-zachodnim krańcu półwyspu Kenai.

przypominająca z wyglądu flądrę lub płastugę. Podobno największy, jakiego złowiono w Homer, ważył prawie 150 kg, co przez pewien czas stanowiło rekord Alaski. Mięso halibuta jest pożywne i smaczne, choć bardzo tłuste.

Homer leży nad zatoką Kachemak, która jest fragmentem znacznie większej Zatoki Cooka. W miejscu, gdzie mieszają się wody obydwu zatok, znajduje się ogromny cypel, którego środkiem biegnie droga łącząca miasteczko z portem. Po obydwu stronach drogi stoją rzędy sklepików z pamiątkami, liczne kawiarenki, restauracje oraz punkty usługowe. Po wschodniej stronie cypla, za solidnym falochronem, w rozległych dokach portowych kołyszą się na wodzie setki zacumowanych jachtów i żaglówek. Połączone z portem miasteczko zrobiło na mnie wrażenie typowego nadmorskiego kurortu, amerykańskiego odpowiednika polskich Rowów lub Łeby.

OKO W OKO Z BIELIKIEM

Kenai to nie tylko jeziora, góry i Pacyfik – to przede wszystkim dzikie zwierzęta, wśród których moją szczególną uwagę przyciągały bieliki amerykańskie, czyli alaskańskie orły. Już w pierwszych dniach pobytu na Alasce zauważyłem, że jest ich tutaj mnóstwo – zwłaszcza na wybrzeżu oraz w pobliżu rzek, gdzie łatwiej jest im upolować ryby stanowiące podstawę ich diety. Bieliki to ostrożne ptaki, więc nie

było mowy, aby się do nich zbliżyć. Pewnego dnia nadarzyła się jednak okazja do spotkania z alaskańskim orłem dosłownie „oko w oko”, żeby nie powiedzieć „dziób w dziób”.

Do siedziby parku Kenai zadzwonił miejscowy z wiadomością, że w pobliżu jego domu



ŁOŚ SUPERKTOŚ

Łoś alaskański (*Alces alces gigas*) to największy łoś na świecie oraz żywy symbol parku Kenai.

znajduje się ranny bielik. Ptak miał złakomić się na woblera, czyli wędkarską przynętę, która do złudzenia przypomina niewielką rybę, z tą tylko różnicą, że jest wyposażona w dwie duże i ostre kotwiczki. Wbiły się one w ciało orla. Był to młody osobnik, w wieku 4-5 lat, ponieważ jego upierzenie było jeszcze nie w pełni wybarwione – nie miał charakterystycznych dla dorosłych osobników białych piór na głowie.

LETNIE ŚNIEGI

Góry nad jeziorem Skilak nawet w środku lata bywają pokryte śniegiem.



Założyliśmy grube, skórzane rękawice sięgające aż do barków, po czym umówiliśmy się, że obejdziemy rannego orła z dwóch stron, żeby odpędzić go od jeziora i nakierować na pobliskie zarośla, gdzie łatwiej będzie go schwytać. Jednak gdy ptak nas spostrzegł, zaczął uciekać w przeciwnym kierunku, sadząc dwumetrowe susy niczym kangur – najwyraźniej kotwiczki wbiły mu się też w skrzydło i nie był w stanie latać. Po kilkunastu minutach chaotycznej bieganiny za ptakiem w końcu udało nam się złapać go w siatkę i ostrożnie położyć na masce samochodu.

Z bliska orzeł okazał się znacznie większy, niż początkowo sądziłem. Był wychudzony, przestraszony i śmierdzący padliną. Moim

głęboko w dziobie. Doszliśmy do wniosku, że konieczna jest operacja przeprowadzona przez fachowców, więc zapakowaliśmy orła do dużej, wentylowanej skrzynki i przetransportowaliśmy do specjalistycznego laboratorium w Anchorage.

COMBAT FISHING

Pewnego dnia dotarły do mnie informacje, że w rzece Kenai pojawiły się pierwsze w tym roku łososie pacyficzne. Nie namyślając się długo, wybrałem się w miejsce, gdzie do Kenai – największego i najbardziej malowniczego ciekę na półwyspie – uchodziła inna, nieco mniejsza Russian River. Gdy byłem tu kilka

DANIA Z ŁOSIA LUB ŁOSOSIA

Wnętrze typowego dla południa Alaski przydrożnego baru. W alaskańskiej kuchni królują potrawy z ryb i owoców morza (łososia, halibuta, krewetek) oraz mięs dzikich zwierząt (łosia, renifera, dzika i foki).



zadaniem było pilnować, żeby nie zaczął się ruszać, ale przede wszystkim, żeby nie udało mu się zranić nas swoimi szponami. Ptak leżał bardzo spokojnie, ale cały czas łapał na mnie złowrogimi ślepiami, jakby czekając na błąd lub brak ostrożności. Jestem pewien, że gdyby chwycił mnie za brzuch, jednym ruchem łapy byłby w stanie go rozpruć i wypatroszyć. To doświadczenie uświadomiło mi, że dzika przyroda widziana z bliska traci dużo ze swojego uroku.

Okazało się, że usunięcie kotwiczek z ciała ptaka wcale nie było łatwe, ponieważ jedna z nich wbiła się w skrzydło, przebijając je na wylot, a druga przeszła przez język i ugrzęzła

tygodni wcześniej, dookoła panowała idealna cisza, nie było ani jednego turysty. Tymczasem teraz rzeka była obleżona przez tysiące wędkarzy. W 1986 roku w Kenai złowiono rekordowo dużego łososia o wadze 46 kg i od tej pory, każdego roku, w trakcie sezonowych wędrówek łososi na tarło, do parku Kenai przyjeżdża 150-200 tys. wędkarzy. Każdy z nich jest święcie przekonany, że to właśnie on pobije kolejny rekord Alaski.

Zastanawiałem się, jak to możliwe, że tylu wędkarzy zjechało na łowiska dokładnie wtedy, kiedy łososie rozpoczęły swoją wędrówkę na tarło. Okazało się, że wielu mieszkańców miasteczka Soldotna – przez które Kenai

NA ŁÓW, NA ŁÓW

Po łososie przyjeżdża tu co roku 200 tysięcy wędkarzy. Rekordowy okaz złowiono w 1986 roku, ryba ważyła 46 kg.





WĘDKARSTWO BOJOWE

Ze względu na przepychanki i bójkę wśród wędkarzy, połowy na rzece Kenai przyjęło się określać jako combat fishing.

przepływa kilkanaście kilometrów dalej, powyżej ujścia do zatoki Kasilof – zainstalowało na dnie rzeki sonary, dzięki którym rejestrują moment pojawienia się łososi. Potem zostaje już tylko błyskawicznie powiadomić zainteresowanych, którzy dzięki dobrym połączeniom lotniczym są w stanie przylecieć do Kenai już następnego dnia, nawet z drugiego końca Stanów Zjednoczonych.

Na parkingach nad rzeką nie było ani jednego wolnego miejsca, a przed wjazdami tworzyły się kilkusetmetrowe kolejki samochodów. Nad samą rzeką też miały miejsce dantejskie sceny. Jej brzegi oraz wypłyenia w nurcie były dokładnie obstawione przez wędkarzy co 2-3 metry na odcinku kilku kilometrów. Na łądzie stali lub siedzieli na rozkładanych krzesłach kolejni chętni, czekając, aż w wodzie zwolni się dla nich jakiegokolwiek miejsce. Z nurtem rzeki cały czas spływały łodzie z kolejnymi wędkarzami, niebezpiecznie manewrując pomiędzy tymi, którzy stali w wodzie i uparcie łowili na spinning.

Dla tego typu wędkarstwa przyjęła się na Alasce nazwa „combat fishing”, ponieważ pomiędzy wędkarzami nagminnie dochodzi do bójk o dostęp do najatrakcyjniejszych miejsc na łowisku albo z powodu wzajemnego przeszkadzania sobie w trakcie połowów. Jakby tego było mało, w konflikty między ludźmi włączają się często niedźwiedzie, które zwabione nad rzekę zapachami resztek rybiego mięsa, pozostawionego przez wędkarzy patrolujących na miejscu swoje zdobycze, porywają złowione ryby, często przeganiając znad rzeki wędkarzy.

Wędkowanie nad Kenai wśród takich tłumów powoduje, że część wędkarzy pada ofiarą niezdarności lub bezmyślności swoich kolegów. W lokalnym pogotowiu wisi ogromna tablica, a na niej zdjęcia kilkuset pacjentów, którzy zostali sfotografowani tuż przed czekającymi ich zabiegami chirurgicznymi. Tytuł tej tablicy, w wolnym tłumaczeniu, brzmi: „Miejsca, w których można mieć wbite haki w czasie wędkowania na rzece Kenai”. ○

Więcej o wyprawie na Alaskę na stronie: www.sebastianbielak.pl



ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM PIASECKIM

satyrykiem, aktorem kabaretowym

W tekście „Globtroter” w Waszym kabarecie Staszek Wolski powiedział coś, co każdy podróżnik powinien przyjąć jako maksymę: „mam za sobą pięć tysięcy mil, przed sobą trzy tysiące mil... Mówię sobie: nie wracam, nie opłaca się”.

Nie pamiętam.

A powinieneś znać ten tekst na pamięć, bo w trakcie tego monologu nie schodziłeś ze sceny.

Tak było. Kiedyś siedziałem bezmyślnie na scenie i dotarło do mnie, że za chwilę mam zaśpiewać piosenkę, którą zwykle wykonywałem po tym monologu, ale nie pamiętałem jaką. Lecz gdy tylko Staszek powiedział ostatnie słowa, które brzmiały: „do zobaczenia w Klubie 6 kontynentów”, pamięć natychmiast wróciła.

Ty jesteś takim globtroterem wędrówki po kabaretach. Chyba rekordzistą Polski. Występowałeś w największej liczbie kabaretów. Pamiętasz całe te przebyte 5 tysięcy mil?

Pierwsze były „Brylantowe Spinki”, czyli duet, w którym zaczynałem... w przyszłym roku będzie 40 lat. Wygraliśmy wtedy Festiwal Piosenki w Krakowie i od tego liczę moją zawodową działalność. Potem pojechaliśmy do Opola, gdzie dostaliśmy nagrodę za debiut i dodatkowo wycięli nas z transmisji telewizyjnej.

Co się wtedy często zdarzało.

To było tak, że oni nagrywali, a puszczali za 2 godziny. Ten czas był po to, żeby nas wyciąć. Później był kabaret „Gralak Marian”. Wkrótce zacząłem występować ze Staszkiem Zygmuntem w kabarecie, który najpierw się nazywał „Złodziejka”, a potem „Pan tu mieszka”. Następnie był Jan Pietrzak i „Młoda Egida”, by siłą rzeczy trafić do kabaretu „Pod Egidą”. Dalej kolejno byli: „Skauci Piwni” i Rewiński, grupa „Sami” – Sikorowski, Zaucha i ja, no i tak to szło cały czas.

Strasze tego dużo.

Ktoś, kto pisał antologię kabaretu, prosił mnie, żebym mu to spisał. Przestraszyłem się, ile tego jest. W końcu zacząłem występować sam i tak jest do tej pory.

To paradoks, że żyłeś z krytyki systemu, i to zupełnie nieźle.

Pytał mnie kiedyś Niemiec: – Z czego pan żyje? – Jestem satyrykiem. – A co pan krytykuje, rząd? – Jak się da, to tak. – A kto wam płaci? Publiczność? – Nie, nie bardzo, bo my mamy stawki. – A te stawki kto daje? – No Estrada, takie państwowe przedsiębiorstwo. – To państwo płaci wam za to, że krytykujecie państwo? To u nas tak nie ma.

Marek Szpendowski – producent filmowy, właściciel agencji Viva Art. Organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.

Jakie są plusy i minusy Twojego zawodu?

Ja wszystko lubię. To jest zawód, w którym obok tego, że musi się lubić występować, to trzeba lubić być w hotelu, trzeba lubić być w samochodzie...

A najciekawsze miejsce na świecie?

W Polsce lubię, że się jedzie, po prostu. Jeździliśmy średnio 90 km na godzinę i to nie była żadna sztuka. W tej chwili trzeba jechać 250, żeby mieć średnią 90. Podobało mi się, że dało się jeździć. Mniej mi się podobało, że benzyny nie było. Teraz podoba mi się, że wszędzie mamy infrastrukturę. Bary są, stacje benzynowe są. Tylko żeby jeszcze asfalt był.



A co lubisz w prywatnym podróżowaniu?

Ludzi. Ja zawsze chłonę ulice. Lubię obserwować zwyczaje, np. pić kawę w Brukseli i patrzeć. Poza tym lubię zmieniać miejsca. Chociaż mam jedno takie, w którym byłem parę razy. Na wyspie Hvar w Chorwacji. Jest takie miejsce, gdzie są tylko 3 apartamenty w budynku i są zawsze zajęte przez naszych znajomych. A oprócz tego jeżdżę na narty w Alpy. Tak się zdarzyło, że byłem na lodowcu w okolicach 11 listopada, czyli byli tam sami Polacy. Przez te 4 dni pobytu nie usłyszałem ani jednego słowa na „k”, co świadczy o tym, że jesteśmy coraz fajniejszym narodem. ○